

**ks. Alfred Cholewiński**

## **ABC CHRZEŚCIJAŃSTWA**

### **Przedmowa**

Gdyby w upalnym dniu podano nam, spragnionym, dwie szklanki wody informując, że w pierwszej znajduje się woda zaczerpnięta z ujścia Wisły do Bałtyku, a w drugiej - z samych źródeł Wisły, bez wahania sięgnęlibyśmy po wodę ze źródła - czystą, rokującą zdrowie.

Na szczęście podobnie reagujemy w sferze ducha - pragniemy sięgnąć po pokarm dla siebie do *Pisma Świętego*. W wierzących rodzi się i rośnie głód... Wiele dobrego w tym względzie uczynił Duch Święty podczas Soboru Watykańskiego II.

W tym klimacie w latach 1980-81 grupa jezuitów prowadzących ośrodki akademickie prosiła swego kolegę o. Alfreda Cholewińskiego, biblistę z wykształcenia, o pomoc. Przez dwa lata z rzędu pod koniec czerwca spotykaliśmy się w nielicznym gronie w Zakopanem u jezuitów pod Gubałówką na „Górcie”, by przez kilka dni słuchać wtajemniczeń w dynamikę życia chrześcijańskiego według *Pisma Świętego*.

Dobrze się stało, że w drugim roku naszych spotkań wykłady te zostały utrwalone na taśmie magnetofonowej. Z czasem spisał je w formie skryptu zauroczony wartością syntezy duchowości biblijnej kleryk.

Całe lata ów skrypt żył i karmił wielu (zwłaszcza na „obozach biblijnych”), bezustannie powielany na ksero. To, co wartościowe, piękne i dobre broni się samo. Niegasnące powodzenie skryptu sprawiło, że upomniano się o przygotowanie go do wydania drukiem.

Bywają książki, które narodziły się tylko dlatego, że ich autorzy tego pragnęli, a czytelnicy postanawiają być bardziej ostrożni przy kolejnych zakupach. Bywają jednak książki, których „życia” pragnęli i autor, i czytelnicy. W przypadku tej książki jej Autor mógł co najwyżej z Nieba wpływać na jej narodziny. W gruncie rzeczy same jej walory powołały ją do życia drukiem. Tym samym Autor będzie mógł kontynuować swe wykłady spod Gubałówki dla spragnionych „wód życia” w Księgach Natchnionych, zwłaszcza że w jego życiu Wiara i Nadzieja już zgasły, a wybuchła Miłość.

*Mieczysław Wołoszyn SJ*

### **JEZUS NIE TYLKO OTWORZYŁ NAM NIEBO**

#### **(zawężone pojęcie Dobrej Nowiny)**

Skonfrontujmy najpierw ten kerygmat (gr. *keryssein* - głosić, przepowiadać) z powszechnym pojęciem, jakie mają ludzie, z którymi się spotykamy.

To jest schemat, który wierni mają w głowach, a księża prezentują na ambonach i w konfesjonalach. Według tego schematu daje się rady, dokonuje się wyborów duszpasterskich.

Jaki jest ten schemat, który nie będzie naszym schematem, który będzie skonfrontowany i zastąpiony innym? Wielu wstydziłoby się do niego przyznać, ale on *de facto* istnieje - również w świadomości masy księży i wielu biskupów.

Można by go z grubsza opisać w ten sposób: Pan Bóg dał człowiekowi w raju życie nadprzyrodzone. Dał mu udział w swoim życiu i dał mu to, co nazywamy łaską Bożą. I człowiek miał ten dar uczynić swoim przez próbę, którą miał przejść.

Ta próba polegała na daniu mu przykazania, które jest symbolicznie wyrażone w *Piśmie Świętym* w formie zakazu: „Nie będziesz spożywał owoców z jednego drzewa - dobra i zła”. Próba skończyła się negatywnie. Pierwszy człowiek tego przykazania nie wypełnił. Przekroczył je i wskutek tego utracił życie wieczne.

A życie wieczne miało dać człowiekowi wstęp do nieba. Miało mu zapewnić szczęśliwą wieczność z Bogiem. Teraz niebo się zamknęło i dla ludzi nie ma ratunku. Pojawił się grzech pierworodny. Jest on zawinionym brakiem życia Bożego, które miało w nas być, które miało się w nas pojawić równocześnie z narodzeniem i być przekazywane w akcie rodzenia. Tak wyjaśnia później ów dogmat Sobór Trydencki, że to miało się dokonać w sposób jakby paralelny z biologicznym, na drodze przekazywania życia.

Człowiek przekazuje teraz życie, któremu brakuje łaski Bożej. I ten zawiniony brak łaski nazywa się grzechem pierworodnym.

I dotąd interpretacja jest dobra, nie jej będziemy zwalczać. Niebo jest zamknięte i cały rodzaj ludzki znajduje się w rozpaczliwej sytuacji. Jest skazany na wiekiistą zagładę. Grzech pierworodny pokazuje swój owoc w grzechach indywidualnych, które w każdym człowieku prędzej czy później wychodzą na jaw. Tym samym człowiek jakby przypieczętował swój stan odłączenia od Boga, zasługując jednocześnie na wiekiiste potępienie. Z tej tragicznej sytuacji nie było wyjścia. Dlaczego?

Oto jest ta teoria, którą będziemy uzupełniać, korygować i rozszerzać jej ciasne horyzonty. Dlaczego więc nie było wyjścia? Mówi owa teoria, iż grzech pierworodny i nasze grzechy osobiste powodują nieskończoną obrazę Pana Boga. I teraz człowiek nie potrafi sam tej nieskończonej obrazie naprawić. Nie potrafi zadośćuczynić za swój grzech. Nie potrafi dać Bogu wystarczającej satysfakcji, wynagrodzenia, ponieważ wszystko, cokolwiek czyni, jest skończone. Człowiek jest istotą skończoną i każdy jego czyn ma - niestety - tylko wymiar skończony. Natomiast grzech, którym obraził nieskończonego Boga, ma wymiar nieskończony.

Dlatego człowiek jest bezradny. Choćby się nie wiadomo jak starał, nie potrafi sam wyjść z tej sytuacji. Choćby robił wszystko, co może, nie potrafi Bogu wynagrodzić; naprawić tego, co grzechem zepsuł. Nie potrafi złożyć Panu Bogu nieskończonego wynagrodzenia.

I dlatego - mówi ta teoria, która jest jakby eksplikacją dogmatu o Odkupieniu - trzeba było wcielenia Syna Bożego. Dlatego, że wcielenie Syna Bożego stwarza sytuację pojawienia się kogoś, kto jest Bogiem i człowiekiem w jednej osobie. Jako człowiek może On w naszym imieniu złożyć Panu Bogu odpowiednie wynagrodzenie, równe nieskończonej obrazie Boga, bo jest również Bogiem. Tak więc owo zadośćuczynienie ma także wymiar nieskończony. Nieskończona obraza będzie mogła wreszcie zostać zlikwidowana nieskończonym wynagrodzeniem złożonym przez Syna Bożego. Dlatego Jezus rodzi się, żyje wśród nas, składa Bogu to nieskończone wynagrodzenie, którym przez swoją śmierć krzyżową wyrównuje grzech człowieka.

Teoria ta bardzo akcentuje śmierć. Właściwie podkreśla tylko ją. Jest ona właśnie tym momentem, w którym Syn Boży w imieniu grzesznej ludzkości kładzie na szalę nieskończone wynagrodzenie, wyrównujące nieskończoną obrazę. Bóg Ojciec jest nareszcie należycie prześlągany za nasze grzechy i dlatego wielkodusznie dla ludzkości zaczyna nową erę. Podwoje niebios się otwierają. Brama jest znowu otwarta na oścież i ludzkość może w nią wejść.

To jest w tej teorii Dobrą Nowiną. Faktycznie, to **także** jest Dobrą Nowiną dla ludzkości. Ale tutaj ta Dobra Nowina się kończy. To, co dalej się ludziom mówi, co ludzie myślą, nie jest już Dobrą Nowiną. Dlatego, że mówi się: „Niebo jest już otwarte. Jezus już złożył za nas Panu Bogu zadośćuczynienie. No i teraz my - wszyscy ludzie - starajmy się wejść do tego nieba, bo ono jest już otwarte. Teraz nasz wysiłek przyniesie owoce. Owoce życia wiecznego”.

Dlatego zaczyna się teraz to, co ludzie doskonale znają. Cały ten bagaż moralizowania. Mianowicie: „Dzieło Odkupienia dokonane. Jezus Chrystus złożył za nas Panu Bogu zadośćuczynienie. Prześlągany Bóg otworzył znowu niebo, życie wieczne jest dla nas możliwe. I starajmy się, wysilajmy się, pracujmy nad sobą. Róbmy wszystko, co możliwe. Bądź dobrym mężem, żoną... Zachowuj przykazania”. Wszystko wpychamy w ten worek i kładziemy go ludziom na ramiona. Dla pociechy mówimy im: „Nie jesteś w tych sprawach sam. Bóg ci pomaga. Przecież po to ustanowił sakramenty, żeby ci w tym pomagały”.

Tylko że ludzie stwierdzają pewną dziwną rzecz. Te sakramenty jakoś słabo pomagają. Chodzę do spowiedzi, przystępuję do Komunii św., a właściwie sytuacja się niewiele zmienia. Jestem właściwie taki, jaki zawsze byłem.

To jest ta teoria, która ma prawo obywatelstwa w świadomości ludzi. To jest to, od czego również często wychodzimy mówiąc o Odkupieniu; o tym, jak funkcjonuje zbawienie Boże, o co właściwie w Kościele chodzi.

Otóż o tym schemacie mówimy, że jest on co najmniej niewystarczający, niepełny. Można by tu użyć takiego porównania: Odkupienie - jako dogmat - jest to jakby wielki ocean, a ta teoria byłaby butelką, która zawiera wodę z oceanu, ale o której nigdy nie możemy powiedzieć, że nim jest. Ta teoria nie jest Dobrą Nowiną. Dobra Nowina to jest coś więcej, szerszej: coś, co naprawdę człowieka stawia na nogi; co naprawdę raduje jego serce; co daje mu perspektywę i nadzieję; co mu również daje moc.

Czego w tej teorii brakuje? Przede wszystkim, akcentuje ona tylko mękę i śmierć Pana Jezusa (bo to jest moment wynagrodzenia). Natomiast zmartwychwstanie nie ma już takich dobrych eksplikacji. Zmartwychwstanie w tej teorii schodzi do rzędu jakiegoś dowodu na bóstwo Jezusa, albo osobistej gratyfikacji, jaką Bóg Ojciec dał swojemu Synowi za trudy męki. Nie widać w niej tego, o czym mówi św. Paweł w *Liście do Rzymian: On to został wydany za nasze grzechy i wskrzeszony z martwych dla naszego usprawiedliwienia* (Rz 4, 25).

Jezus zmartwychwstał nie dla siebie, ale dla nas. Zmartwychwstanie jest bardzo ważne **dla nas** i również **dla nas** jest pożyteczne. Tak jak i wszystko, co się stało z Jezusem Chrystusem: Jego przyjście, życie i śmierć. Zmartwychwstanie dokonało się więc dla naszego usprawiedliwienia. W tej teorii nie widać jednak, jak się to dzieje.

Dalej, ta teoria jest bardzo juretyczna. To znaczy, wychodzi z założenia, które nie jest biblijne, że grzech jest obrazą Boga, zniszczeniem jakiegoś abstrakcyjnego - przez Boga ustanowionego - porządku moralnego i ten porządek musi być naprawiony. Musi on być naprawiony albo przez karę grzeszników, albo przez jakiś wyjątkowy czyn. Właśnie tak, jak to Jezus zrobił swoją męką i śmiercią. Ten porządek tylko tak może być przywrócony. Ponieważ grzech jest zniszczeniem ustanowionego przez Boga porządku, jest również obrazą Boga, który jest jego twórcą. Jest ośmieleniem się do buntu przeciw Bogu, jakby pokazaniem Mu pleców. (My te obrazy bardzo antropomorfizujemy.) Tak, jak byśmy kogoś uderzyli w twarz. Ten ktoś później jest na nas śmiertelnie obrażony i musimy coś zrobić, żeby go udobruchać. Tak to wszystko rozumiemy.

Brak jest w tej teorii podejścia egzystencjalnego, które jest podejściem na wskroś biblijnym. Stwierdza ona, że ludzkość zaciągnęła ogromny dług względem Pana Boga. Przyszedł Syn Boży, który ten dług wyrównał. Ale to wszystko dzieje się ponad naszymi głowami. To mnie osobiście nie dotyczy. Ja się o tym tylko dowiaduję. Dowiaduję się, iż kiedyś - w zaraniu ludzkości - zdarzyła się ta wielka katastrofa ludzkości. Niebo się zatrasnęło i nie było dla nas nadziei. Jednak Bóg był tak dobry, że posłał swojego Syna. I ten Syn złożył Panu Bogu za mnie wynagrodzenie. W tej chwili niebo jest już otwarte. O tym wszystkim jednak tylko się dowiaduję. Coś wydarzyło się w przeszłości, jakby ponad moja głowę. Było strasznie źle, teraz jest już dobrze. Ja się tylko dowiaduję, że muszę się teraz wysilać, żeby nie zmarnować tego wszystkiego, co Bóg dla mnie zrobił, aby śmierć Chrystusa nie była dla mnie daremna. O tym się dowiaduję, ale to mnie wewnętrznie nie zmienia.

Żeby to jeszcze lepiej zilustrować, użyjmy pewnego obrazu. Otóż za nasze grzechy jesteśmy skazani na dożywotnie więzienie. Siedzimy w tym więzieniu. I teraz Odkupienie - wedle tej teorii - polega na tym, że nagle przychodzi wiadomość: „Słuchaj, Jezus Chrystus przyszedł do więzienia i powiedział: «Ja za ciebie odsiedzę! Ty wyjdź na wolność!»". No dobrze, ale jeżeli ja miałem przedtem serce złodzieja, zbója, mordercy, lubieżnika - mam je nadal. Jeszcze nic się we mnie nie zmieniło. Jestem taki, jaki byłem.

To jest Odkupienie jakby zewnętrzne, juretyczne. Ono nie dotyka serca człowieka, nie zmienia mnie. Tymczasem czuję, że problem tkwi gdzieś w środku. Dlatego Ewangelia w powszechnym odczuciu nie jest Dobrą Nowiną.

Niby mówi się: „Ewangelia, Ewangelia - Dobra Nowina”. No, kochany, pokaż mi, co jest dobrego w tej Ewangelii, którą przepowiadasz. Ty mi tylko mówisz, co mam robić. To jest uciążliwa nowina.

Większość ludzi ma właśnie takie doświadczenie. Chrześcijaństwo jest furą przykazań do zachowania, ciężkim wozem, który trzeba ciągnąć. Bóg mi w tym - podobno - pomaga, ale ja przecież czuję, że ta pomoc jest słaba, że nie rozwiązuje ona moich życiowych problemów. Nie wyprowadza mnie z grzechów, bo przecież ciągle na nowo w nie wpadam. Co więc jest? Coś tu nie gra...

Powinniśmy sobie to wszystko dobrze uświadomić, gdyż taką koncepcję zbawienia ludzie mają w głowach. Może nie jest ona jasno uświadomiona. Kiedyś zapytałem pewną dziewczynę, która co niedzielę chodziła do kościoła, a na religię uczęszczała do dwunastej klasy włącznie: „Na czym polega Ewangelia? Jak ty ją rozumiesz? Jak rozumiesz Odkupienie?”. Nie umiała odpowiedzieć. Przedstawiłem jej powyższą teorię. Wtedy odpowiedziała: „No tak, no tak. Tak księża mówili”. No i co jeszcze? „Nic więcej”. Tak ludzie *de facto* powszechnie myślą.

opr. mg/aw

## DWIE FUNKCJE KRZYŻA CHRYSZTUSOWEGO

Zacznijmy od centrum, aby móc później wyprowadzić wnioski dotyczące naszej praktyki duszpasterskiej. Wtedy będziemy mieć zdrowy, zwarty punkt widzenia i odniesienia, na podstawie którego można by osądzić nasze prace.

Chodzi o to, aby umieć wybierać spośród tego, co życie mi oferuje, spośród różnego rodzaju możliwości, przede wszystkim to, co odpowiada mojej misji w Kościele.

Tym centralnym punktem jest pozytywny kerygmat. Popatrzmy teraz na inną funkcję Chrystusowego krzyża. Rozważmy to, co widzimy w *Ewangelii* św. Jana, że krzyż jest największym dowodem miłości Pana Boga. Przed grzechem, przed upadkiem człowiek mógł poznać pewne aspekty miłości Boga, ale nie był w stanie zrozumieć Jego najbardziej przepastnej cechy, jaką jest miłość do grzesznika. To stało się możliwe dopiero wtedy, kiedy pojawił się grzech.

Całe *Pismo Święte* jest z jednej strony ukazywaniem jak grzech coraz bardziej rozkłada, coraz bardziej niszczy kulturę ludzką i całe narody, jak drąży również wewnętrzną tkankę Izraela. Pokazuje, jak niewystarczająca jest ta prowizoryczna historia zbawienia, którą Bóg prowadził w Starym Testamencie, aby przygotować grunt na przyjście Jezusa Chrystusa.

Drugi nurt *Pisma Świętego* pokazuje, jak powoli objawia się miłość Boga. Dzieje się to od razu w Protoewangelii, w opowiadaniu etiologicznym, które opisuje pierwszy upadek człowieka. (Opowiadanie etiologiczne jest to opowiadanie, które pragnie wydarzeniem z zamierzczłej, niesprawdzalnej przeszłości wytłumaczyć jakiś obecny, rzeczywisty stan rzeczy, jakiś zwyczaj itp.)

Otóż cały opis raju ma charakter wybitnie etiologiczny, dlatego że pragnie wyjaśnić pewne stałe i najbardziej fundamentalne dane ludzkiej egzystencji, np. dlaczego człowiek się żeni. Odpowiedź: bo na początku Pan Bóg ustanowił małżeństwo. Dlaczego człowiek tak jest związany z ziemią, jak to widzimy w doświadczeniu? Dlatego, że Pan Bóg wyprowadził go z ziemi. Tutaj jest jeszcze w języku hebrajskim świetna gra słów: nazwa i imię człowieka jako takiego brzmi „Adam” i słowo „adam” oznacza również ziemię. Jest to ten sam źródłosłów; czyli hebrajski wyraz na określenie człowieka znaczy „glebianin”, „ziemianin”. I tu od razu widać jego wewnętrzny, istotny związek z ziemią. Człowiek jest z ziemi wyjęty i dla niej stworzony. Jego więź z ziemią należy również do konstytucji natury ludzkiej.

Słowem, opowiadanie to wyjaśnia, dlaczego jest tak a tak. Bo na początku było to a to... Etiologia dzieli się na historyczną i niehistoryczną. Historyczna to ta, która jako przyczynę podaje pewne prawdziwe wydarzenia z przeszłości. Niehistoryczna natomiast to ta, która wymyśla jakieś opowiadanie, żeby coś dzisiejszego wyjaśnić.

Również etiologią jest całe to opowiadanie, ukazujące skąd wzięło się zło, dlaczego panuje ono w świecie. Bo na początku stało się to a to... (W tym przypadku mamy do czynienia z etiologią historyczną, która wyczuła dobrze, co się stało na początku ludzkości.)

Dramat człowieka zrodził się z tego, że pierwszą wolną odpowiedzią na misję, którą Bóg pragnął mu powierzyć, był grzech. Człowiek zbuntował się przeciw tej misji. Postawił siebie na miejscu Boga, zamiast uznać siebie za stworzenie. Na szczęście Pan Bóg na ów grzech odpowiedział już w Protoewangelii, że ludzkości w tym stanie nie pozostawi.

W tym opowiadaniu etiologicznym są rzeczy ważne i mniej ważne, np. dlaczego wąż nie ma nóg, tylko pełza. Ponieważ był tym, który skusił pierwszego człowieka i teraz ponosi konsekwencje swego czynu. Wśród tych naiwnych, dziecięcych części etiologii, które dla nas dziś są mniej ważne, nagle pojawia się „ziarno”, które przedstawia fakt ogromnej wagi teologicznej. Oto teraz Bóg ustanawia period historii, w którym będzie panowało ustawiczne zmaganie się między plemieniem Ewy - rodzajem ludzkim - a tym światem, który reprezentuje wąż. Ale ostatecznie w owej walce zwycięży rodzaj ludzki. W tym jest obietnica Boga względem człowieka: Ja ciebie nie opuszczę. Ja się tej walce przypatruję. Ja tobie w niej gwarantuję ostateczne zwycięstwo.

Dlatego dalsze rozdziały *Pisma Świętego* pokazują, jak Bóg powoli to realizuje. Kain i Abel - brat zabija brata. Ale zabójstwo to należy zobaczyć na tle prawa, które istniało w Starym Testamencie - prawa tzw. legalnego ścigania zabójcy przez krewnych zabitego. Nie tylko było to dopuszczalne, lecz wręcz podniesione do rangi obowiązku. Można tak powiedzieć w skrócie: zabójca nie ma prawa żyć. Tymczasem Bóg daje Kainowi jakiś znak na czole, który sprawia, że Kaina tykać nie wolno, że to prawo go nie dotyczy. Bóg go ulaskawia: ty możesz żyć.

Później przychodzi historia Lameka, w której widać, jak prawo zemsty doszło już do swojego ostatecznego paroksyzmu. Kain się pomścił siedem razy za swoją obelgę, a Lamek siedemdziesiąt siedem razy, już do najwyższej przesady.

Zauważmy, że prawa Starego Testamentu, które w naszym poczuciu są barbarzyńskie, na tle barbarzyństwa, które panowało wśród ludzkości, były ogromnym krokiem naprzód. Np. prawo zemsty (prawo talionu): „oko za oko, ząb za ząb” wyparło prawo, w imię którego za jedno oko niszczone siedem albo siedemdziesiąt siedem oczu. W *Biblii* Pan Bóg mówi: jedno oko wystarczy. Jest to powolne wprowadzanie ludzkości do ideału ewangelicznego. Nas to dzisiaj może gorszy, ale wtedy, na tamte czasy był, to ogromny postęp.

Dalej historia potopu przedstawia kompletne zniszczenie ludzkości do cna zdeprawowanej przez grzech. Przychodzi potop jako zapowiedź sądu eschatologicznego. Jest to typ sądu, który pokazuje, jak w wodach potopu Bóg ratuje jednego człowieka, by z niego wyprowadzić nową ludzkość.

Jest to pierwsza konkretyzacja obietnicy z raju, która mówi, że Bóg będzie zawsze ocalał w całej historii ludzkości małą resztę, by z niej stwarzać dalszą ludzkość. Ta zasada reszty będzie się przewijała przez cały Stary Testament.

Wieża Babel i pomieszanie języków. Uwaga! Pomieszanie języków to nie jest kara za grzech, ale dobrodziejstwo Boże, żeby grzech nie urósł do rozmiarów demonicznych. Dlatego Bóg mówi: *wszyscy mają jedną mowę [...] A zatem w przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić* (Rdz 11, 6). To jest obawa, że człowiek przekroczy granice swojej natury i jego zło przybierze rzeczywiście demoniczny wymiar. Tutaj Pan Bóg dla dobrodziejstwa ludzi miesza im języki (mowę).

Żeby ludzkość wróciła do błogosławieństwa, którym się kiedyś człowiek cieszył w raju, Bóg podejmuje historię Abrahama (Rdz 12, 1-3). Jest to fragment redakcyjny włożony przez redaktora w usta Pana Boga, by wytłumaczyć sens historii, która zaczyna się w 12 rozdziale: *Pan rzekł do Abrama: «Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę. Uczynię bowiem z ciebie wielki naród, będę ci błogosławił i twoje imię rozstawię: staniesz się błogosławieństwem. Będę błogosławił tym, którzy ciebie błogosławić będą, a tym, którzy będą złorzeczyli, i Ja będę złorzeczył. Przez ciebie będą otrzymywały błogosławieństwo ludy całej ziemi»*.

Jak wiemy, cała ta historia została opowiedziana z myślą o wszystkich narodach, by błogosławieństwo, które ludzkość utraciła, powróciło do wszystkich.

Następnie Izrael został wyprowadzony z niewoli egipskiej. I przy tej okazji *Pismo Święte* podaje pierwszą definicję Pana Boga, która jest dla Starego Testamentu tym, czym dla nas jest stwierdzenie św. Jana *Bóg jest miłością*. W *Księdze Wyjścia* czytamy: *Przeszedł Pan przed jego [Mojżesza] oczyma i wołał: «Jahwe, Jahwe, Bóg miłościwy, litościwy, cierpliwy, bogaty w łaskę i wierność, zachowujący swą łaskę w tysiączne pokolenia, przebaczący niegodziwość, niewierność, grzech, lecz nie pozostawiający go bez ukarania, ale zsyłający kary za niegodziwość ojców na synów i wnuków aż do trzeciego i czwartego pokolenia»* (Wj 34, 6-7).

Definicja ta pragnie ukazać prawdę, że w Bogu jest serce, które jest bardziej skłonne do przebaczenia niż do karania. Powiedzmy, jest w Bogu jakiś hamulec, który mówi Mu, że skutki grzechu, tę truciznę, którą człowiek pije, w jakiś sposób trzeba zatrzymać i to możliwie szybko. Natomiast w świadczeniu ludziom - i to

grzesznym ludziom - dobroci, miłosierdzia i przebaczenia Bóg nie ma granic. Zauważmy tu powolne odslanianie rysu Bożej miłości, która jest miłością do grzesznika.

W historii Sędziów występuje taki charakterystyczny cykl: Naród Wybrany grzeszy i odstępuje od Boga. Jako skutek spada na niego trucizna zawarta w grzechu. Gdy jest z nią skonfrontowany, gdy musi ją pić, zwraca się do Boga i woła o miłosierdzie, o przebaczenie. Pan Bóg za każdym razem (tych cykli jest wiele) przychodzi, wzbudza jakiegoś zbawiciela-sędziego i wybawia swój naród. Bóg niestrudzenie czyni nowy początek.

Następuje wielkie wydarzenie, wielki kataklizm - niewola babilońska. Teraz nawet w *Piśmie Świętym* pojawiają się pytania: Czy to koniec? Czy to znaczy, że historia zbawienia cofnęła się do punktu zerowego? Czy została anulowana? Czy Bóg się nami znużył i odszedł? Tak by się mogło wydawać na podstawie logiki Przymierza, na której jest zbudowana *Księga Powtórzonego Prawa*.

Istnieje Przymierze, układ. Jesteśmy partnerami, mówi Bóg. Ja jestem twoim Bogiem, ty jesteś moim ludem. Ja ci będę świadczył wszystkie dobrodziejstwa (będziesz na tej ziemi wielki), a ty będziesz zachowywał Moje przykazania. Jeżeli tego warunku nie spełnisz, również Ja wycofam się z Moich obietnic. Utracisz swoją ziemię i wrócisz do Egiptu.

I tak się kończy *Powtórzone Prawo*. To pierwsze jego wydanie. W rozdziale 28 to ostatnie przekleństwo jest właśnie takie: „Wrócisz do Egiptu”. Historia zbawienia znalazła się w punkcie zerowym. W czasie niewoli, gdy się to rzeczywiście stało, Izrael zapytuje: „Czy to koniec?”. Przychodzą nowi prorocy: Deutero-Izajasz, Ezechiel, którzy mówią: Z tej śmierci, która jest czymś zasłużonym dla Izraela, mimo że Izrael nie ma żadnego tytułu do domagania się jakiegoś nowego początku, Bóg postanowił uczynić nowy początek.

Nie dla jakichś twoich zasług, nie dlatego, żeś o to Boga prosił, tylko dlatego, że Bóg obiecał Abrahamowi prowadzić tę historię zbawienia na wieki. Dlatego w czasie wyjścia i później u Nehemiasza pojawia się ta sama definicja Pana Boga wyjęta z *Księgi Wyjścia*, na której jest zbudowany dalszy ciąg historii zbawienia.

Szczytem objawień, w których Bóg objawia siebie, jest ukazanie miłości Jezusa Chrystusa do nas. Wszystko to, co się objawiło w Jezusie, a szczególnie - w punkcie kulminacyjnym na krzyżu.

To jest drugi aspekt krzyża: krzyż jako objawienie się Bożej miłości. Dokąd ona doszła? Jak daleko sięga? Z jednej strony jest to wyświechtany komunał, że Pan Bóg kocha grzesznika, z drugiej zaś strony w tym stwierdzeniu jest zawarta „bomba atomowa”, rewolucja. Jest w nim kompletne przewrócenie tego, co sądzymy na temat miłości, jak miłość praktykujemy. Nie ma wszakże na świecie miłości do grzesznika, miłości do wroga. Grzesznik to z definicji wróg Boga. Zerwał z Bogiem. Pokazał mu plecy. Zabił w sobie życie Boże. Bóg, który w nim mieszkał, który był wewnętrznym motorem postępowania moralnego człowieka, został wygnany przez grzech. Jest to zniszczenie świątyni Bożej. Św. Paweł mówi o tym, że ten, który znieważa świątynię Boga, czyni coś najgorszego, co się może człowiekowi przytrafić.



U Żydów świątynia była czymś tak świętym, że za jej znieważenie groziła kara śmierci. Tymczasem w przypadku świątyni znieważonej w człowieku nie ma kary śmierci, tylko jest ulaskawienie. Pan Bóg wraca do grzesznika, ściga go swoją miłością. Bóg go kocha i akceptuje. I to się nie zgadza z tym, co my na świecie przeżywamy.

Zanalizujmy postępowanie ludzi. Kiedy jestem skonfrontowany z moim wrogiem, z tym, który obraził mnie czy coś święcie mojego, który mi ciągle udowadnia, że jestem głupi, że jestem nikim, który mnie stale przekreśla - nie mam do niego miłości bezgranicznej. Takiemu typkowi nie wydam się na ukrzyżowanie. Absolutnie nie. Przed takim uciekam, albo bronię się murem nienawiści. Bronię się murem jakiejś odległości, jakiegoś dystansu do niego. Bronię się murem zemsty.

Mówią, że grzesznika należy odpowiednio ukarać i wyłączyć ze społeczeństwa. Na tym rozumowaniu jest zbudowane całe nasze życie społeczne. Na tej zasadzie funkcjonują więzienia itp. Jest to dla nas czymś zupełnie normalnym. Powinny być więzienia, gdyż inaczej życie społeczne nie będzie funkcjonowało.

Wyobrażamy sobie, że w życiu między człowiekiem a Bogiem jest tak samo. A tymczasem Bóg mówi, że w tej sytuacji ma On dla nas Dobrą Nowinę. Dobra Nowina jest taka: *Bóg jest światłością* (1 J 1, 5).

Co to znaczy, że Bóg jest światłością? Mówi o tym 1 List św. Jana. Jest on skonstruowany na kunsztownej i trudnej do odkrycia dialektyce. Jest to zbudowanie zdań o Panu Bogu na kształt spirali. Cała *Biblia* powtarza te same rzeczy na coraz wyższej płaszczyźnie. W prologu zaczyna właśnie od tego, aby w swoim 1 Liście napisać, co to znaczy być światłem. **Być światłem, to znaczy miłować brata** (zob. 1 J 2, 10).

Można to tak powiedzieć: „Mamy wam do przekazania dobrą wiadomość, że Bóg jest światłem. To znaczy, że Bóg kocha to, co tej miłości nie jest warte, co jest ostatecznie, co zasłużyło na odrzucenie, na co splunąć nie warto”. Odpowiedzią Boga na to wszystko jest miłość. I to podkreśla objawienie całego Nowego Testamentu, że w Jezusie Chrystusie objawiła się miłość Boga szukająca grzesznika. Miłość, która jest czymś gorszącym.

Jak gorszącym, pragnie to zilustrować tzw. przypowieść o „Synu Marnotrawnym”. Nie tytułuję jej jednak przypowieścią o Synu Marnotrawnym, tylko przypowieścią o dwóch braciach. Dlatego, że główną postacią w tej przypowieści jest starszy brat. Młodszy służy tylko za tło. Jezus pragnie za pomocą tej przypowieści rozprawić się z sądem, że miłość Boga do grzesznika jest za mocna, przesadzona. Ludzie sprawiedliwi bowiem, których reprezentuje starszy brat, którzy są stale w Kościele - zawsze są w Ludzie Bożym tacy, którym sumienie nie wyrzuca żadnych grzechów ciężkich - gorszą się tym, jak tak można postępować z grzesznikiem. Przecież to go rozwydrzy, to jest niepedagogiczne, to innych zachęci do grzechu. Takie jest tło tego rozumowania.

Dlatego ta przypowieść jest zaadresowana (jest to wyraźnie powiedziane w Łk 15, 13) do faryzeuszy, którzy się gorszyli, że Jezus je i biesiaduje z celnikami, grzesznikami i prostytutkami. Z tymi prostytutkami, na które wszyscy pluja, które są

synonimem najbardziej pogardzanego grzechu. No a celnik w tych czasach to był człowiek chciwy, kolaborant, zdrajca własnej ojczyzny i zdrajca własnych świętych ideałów. Dla tych największych grzeszników Jezus przynosi Dobrą Nowinę. I bierze pod uwagę te właśnie grzechy, które były w największej pogardzie. Przystaje z takimi ludźmi, żeby pokazać, iż Pan Bóg nie odpędzi ich ze swojego Królestwa, tylko ich zaprasza do wspólnoty stołu.

To oznaczają wszystkie uczty Jezusa z grzesznikami, tak bardzo gorszące faryzeuszom. Ich właśnie Chrystus przedstawia jako starszego brata. W tej wspaniałej przypowieści występuje typ grzesznika, który wziął majątek, wyszedł z domu i stracił go z nierządnicami (najgorszy grzech według faryzeuszów). Ogołocony ze wszystkiego, wraca do domu, gdzie na jego powrót czeka ojciec, który mu nie powiedział: „Ty mi tak, to ja ci tak. Koniec, mój dom dla ciebie jest zamknięty”. Tak to sobie wyobrażał starszy brat: „Teraz, gdy on wrócił, ojciec może dać mu jeszcze jakąś możliwość. Jeżeli go chce jeszcze przyjąć, to niech będzie ostatnim parobkiem. Niech przebywa z końmi w stajni, niech im tam podaje siano. Ale z powrotem do domu go wpuszczać? Na równi ze mną? Przyodzianego w szatę? Do tego tańce, muzyka, wspaniała uczta? Czyś ty zwariował? Kto tak postępuje?”. Takie jest rozumowanie starszego brata.

Przypowieść ta zawiera jeszcze wiele innych niuansów. Jej tłem jest również sytuacja starszego brata, który siedzi w domu ojca z poczuciem obowiązku, który nie wie, że wszystko jest jego. Nie wie, że on w domu ojca jest wolny - jest wolny od niewoli, jaką daje grzech. On nigdy tego nie odkrył. Co więcej, starszy brat ma poczucie, że grzech jest przyjemnością, tylko - niestety - zakazaną. Ten gałgan przekroczył zakaz, obraził ojca. Teraz już nie ma prawa do ojcowskiej miłości, skoro go obraził. Dlatego ojciec daje mu katechezę, że grzech nie jest tym, za co go uważa - rzeczą przyjemną, wyżyciem się. Grzech jest śmiercią. Młodszy brat w grzechu był martwy, był chodzącym trupem. Jemu nie było dobrze. On się dosyć nacierpił.

Ojciec wie o tym cierpieniu i dlatego przyjmuje syna do swojego domu. Ojciec wie, że grzech nie jest przyjemnością, ale tragedią dla egzystencji człowieka, że grzech go niszczy. Bóg tej tragedii nie chce i nie chce tego zniszczenia. On pragnie człowieka odbudować. Dlatego tę miłość objawił w rozmaitych swoich słowach. Jezus mówił: „Ja nie przyszedłem do zdrowych [czyli tych, którzy się uważają za zdrowych, sprawiedliwych, i nimi rzeczywiście są], tylko przyszedłem do hołoty, do grzeszników, którzy potrzebują lekarza” (por. Mt 9, 12). I szczyt tego objawienia jest na krzyżu.

Z tajemnicy krzyża rodzą się wymagania dla chrześcijan, skodyfikowane w Kazaniu na Górze: Wy kochajcie w ten sposób, bo jest to miłość taka, jaką kocha Pan Bóg. Inne miłości są ziemskie, dla was możliwe i łatwo dostępne. Jeżeli kochasz swojego przyjaciela, to co wielkiego czynisz? To czynią wszyscy. Jeżeli pożyczasz temu, który tobie pożyczył, czyż to jest coś wielkiego? Tak przecież jest w świecie. Ktoś do mnie przychodzi, to mu pożyczę, bo może za miesiąc ja też będę się musiał po coś zwrócić. I wtedy mam drzwi otwarte, bo wiem, że on mi nie odmówi, skoro ja mu dziś nie odmówiłem. To jest coś normalnego. To jest miłość w wymiarze ludzkim.

Jezus mówi: „Czyńcie coś nadto. Coś, czego cały świat nie czyni. Kochajcie waszych nieprzyjaciół, bo tak kocha Pan Bóg”. I to pokazał na krzyżu. To jest miłość, która ma wymiar krzyża. Ta miłość - jak miłość Jezusa - daje się prowadzić na krzyż

przez grzechy innych. I tam, na krzyżu, daje się zmiążyć, umiera. I to jest zwycięstwem chrześcijanina nad grzechem.

To jest dopiero pełna miłość. Jezus jeszcze tę miłość uzewnętrznia w modlitwie, którą zanosi na krzyżu. Gdy stoi w obliczu swoich wrogów, którzy Go ukrzyżują, nie ciska na nich gromów. Mówi: *Ojczy, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią* (Łk 23, 34). Widzimy tu usprawiedliwienie grzesznika wobec Boga.

Zwróćmy uwagę na jeszcze jeden moment, który nam ukazuje, do czego posuwa się miłość Jezusa, do jakiego stopnia Bóg kocha grzesznika. Oto Jezus godzi się umrzeć zniesławiony, w szacie grzesznika. Dlatego śmierć Jezusa trzeba rozważyć na tle tego, co Stary Testament mówi na temat nieszczęść, jakie walą się na człowieka.

Cały Stary Testament żył w przekonaniu, że dowodem błogosławieństwa, akceptacji ze strony Boga są rozmaite dobra-błogosławieństwa. Dobrze ci się powodzi, masz zdrowe dzieci, dobrą żonę, długo żyjesz, choroby się ciebie nie mają, w interesach wszystko się układa, to znaczy, że Bóg cię kocha, akceptuje. Natomiast jeśli chorujesz, masz krótkie życie, spotyka cię gwałtowna śmierć, jest to dowód, że Pan Bóg ciebie nie akceptuje, że twoje postępowanie nie jest dobre.

Takie postawienie sprawy było czymś normalnym aż do II w. przed Chr., gdy jeszcze nie było objawione, że jest dalszy ciąg życia po śmierci: inny dla dobrych, a inny dla złych. Do II w. wierzono, że dobrzy i źli idą do ponurego Szeolu. Dlatego według tej mentalności całe wynagrodzenie za dobre uczynki musi być wypłacone na ziemi. Tą właśnie wypłatą było błogosławieństwo Boże w dobrach materialnych, w powodzeniu, w zdrowiu itd.

Na tym tle śmierć Jezusa przedstawiała się jako dezaprobata Pana Boga. Był to moment, w którym ludzie z napięciem czekali, czy się spełni to wołanie, które szło spod krzyża: „Hej, Ty, jeżeli jesteś Synem Bożym, to zejź z krzyża, a uwierzymy Tobie” (zob. Mt 27, 40). To nie były drwiny, to było wołanie człowieka, który był zaszokowany tym, co się dzieje. „Przecież jesteś tym, który dobrze czynił tylu chorym, tylu cierpiącym. A jednak nasza władza, nasi sędziowie, nasi kapłani skazali Ciebie na śmierć. Kto ma rację? Czy Ty, czy oni?”

I teraz kryterium dla ludzi jeszcze przyzwyczajonych do tej mentalności miała być Boża interwencja. Sądzi, że choćby w ostatniej chwili Pan Bóg powinien Go zdjąć z krzyża, aby pokazać, że to Jezus miał rację, a nie faryzeusze, że wyrok jest pomyłką. Tymczasem nic się nie dzieje. Jezus umiera na krzyżu. To musiało być szokiem dla wielu, którzy patrzyli na Jego śmierć. A dla faryzeuszy - momentem uspokojenia ich sumień. Pan Bóg nie zainterweniował, ale pozwolił Mu umrzeć. To znaczy, że oni mieli rację. To znaczy, że sąd był sprawiedliwy.

Jezus umiera w opinii bluźniercy, który naciągnął lud, który oszukiwał. Aż do tego stopnia posunęła się Jego miłość. Wziął na siebie nasz grzech. Wziął na siebie posądzenie, że jest naprawdę oszustem. I przez pewien czas swoje imię okrył niesławą. Dopiero zmartwychwstanie odwróciło bieg rzeczy.

I to właśnie mówi do ludzi św. Piotr w innym kerygmacie: *Bóg naszych ojców, Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba wstawił Sługę swego, Jezusa, wy jednak wydaliście Go i zaparliście się Go przed Piłatem, gdy postanowił Go uwolnić. Zaparliście się Świętego i Sprawiedliwego, a wyprosiliście ułaskawienie dla zabójcy. Zabiliście Dawcę życia, ale Bóg wskrzesił Go z martwych, czego my jesteśmy świadkami* (Dz 3, 13-15).

Tutaj Jezus został skonfrontowany z Barabaszem. Tutaj są skonfrontowane dwa typy miłości.

Jedna miłość, to miłość Barabasza. On nie był byle jakim zabójcą. Barabasz był jakby partyzantem. Był nawet otoczony honorami, jak u nas partyzant z czasów II wojny światowej. Walczył o wyzwolenie swojego narodu. Ale z bronią w rękę, przemocą i gwałtem. Barabasz należał do stronnictwa Sykariuszy. Taka jest dzisiaj powszechna opinia egzegetów, że to nie był pospolity zabójca, który w zamieszkach dokonał mordu na jakiejś prorzymskiej osobistości czy rzymskim żołnierzu i czekał na skazanie. Mamy tu z jednej strony uosobienie miłości ludzkiej (tej do pewnych granic), która mówi, że odpowiem gwałtem na gwałt. Nie pozwolę niszczyć tego, co mi się należy. A z drugiej strony - Jezusa Chrystusa, który posunął się do tego, że umierał w niesławie oszusta. On swej decyzji nie zmienił tą możliwością, że Bóg przyjdzie i zdejmie go z krzyża. Miłość Jezusa nie odpowiada gwałtem na gwałt, jest miłością taką, jaką nam nakazał w Kazaniu na Górze; jest miłością, która przekreśla swoje święte prawa, która pozwala się ukrzyżować. Skonfrontowana z wrogiem, z nieprzyjacielem ma jedną odpowiedź - dać się zabić.

Teraz ludzie są powołani do rozstrzygnięcia, do wyboru. Kto ma rację? Czyja postawa jest rozumniejsza - Jezusa czy Barabasza? I ludzie wybierają Barabasza.

Ta sytuacja wiele razy powtarza się w naszym życiu, kiedy jesteśmy postawieni w konieczności wyboru. Mamy konkretny problem. I teraz ujawnia się, czy wierzymy, że Jezus i Jego miłość ten problem rozwiąże.

Nie! Bo jeżeli oprę się na tym, co mówi Jezus w Kazaniu na Górze, zginę. Ta miłość nie rozwiązuje żadnych problemów, konfliktów społecznych. Ta miłość jest słabością.

Natomiast to, co reprezentuje Barabasz (stosowanie w walce o słuszne prawa gwałtu, przemocy), owszem, to rozwiązuje problemy. I ustawicznie wybieramy metodę Barabasza.

Uwidacznia się tym samym to, co mówi ta lektura: *Wydaliście Świętego i Sprawiedliwego Piłatowi na śmierć, a uprosiliście ułaskawienie dla zabójcy.* Uważacie, że prawo do życia ma miłość ludzi reprezentowana przez Barabasza. To należy jeszcze dodać do negatywnego kerygmatu.

Teraz przychodzi pozytywny - właśnie tego Jezusa wskrzesił Bóg. To znaczy, że zmartwychwstaniem Pan Bóg zaaprobował ten sposób miłości. Temu typowi miłości Bóg zagwarantował prawo obywatelstwa w Nowym Królestwie; w Królestwie, które Jezus przyszedł otworzyć śmiercią i zmartwychwstaniem. To jest jedyna wartość, której Pan Bóg zagwarantował nieśmiertelność, przetrwanie. Natomiast wszystko to,

co jest skażone naszą miłością, miłością Barabasa, jego logiką, jest plewą, która pójdzie w ogień, która nie ma zapewnionego życia wiecznego. Natomiast to, co będzie żyło, co naprawdę jest budulcem cywilizacji, co buduje człowieka, co naprawdę może rozwiązać konflikty społeczne, to jest paradoksalnie pójście na śmierć Jezusa Chrystusa, danie się ukrzyżować, oddanie swojego życia.

Jeżeli nie zaakceptujemy postawy Jezusa, całe nasze życie pójdzie w fałszywym kierunku. Nie będzie to budowanie Królestwa Bożego w duchu Jezusa, tylko budowanie ludzkiej sprawiedliwości według zasad Platona czy Arystotelesa. Musimy to sobie jasno określić i mocno uwypuklić, gdyż jest to „nerw” najbardziej istotny dla chrześcijaństwa.

opr. mg/aw

### **NIEWIDZIALNY BÓG CHCE BYĆ FAKTEM EMPIRYCZNYM (misja Kościoła)**

Po co istnieje Kościół? Dawniej wyrażano misję Kościoła w stwierdzeniu, że Kościół to instytucja zbawienia. Po to go Bóg dał, aby każdy wchodząc do niego w nim się zbawił. Przynależność do Kościoła traktowano dość rygorystycznie. Dążono do tego, żeby Kościół zyskiwał nowych członków, żeby wszyscy wchodzący do Kościoła zbawili się w nim pewniej i skuteczniej: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”.

Wersja odnowiona mówiła, że jeśli ktoś bez winy o nim nie wie lub do niego nie wchodzi, to ma szansę zbawienia się, byleby miał najlepszą wolę zbawienia się, dobre sumienie *etc.*

Jaki jest zasadniczy brak takiego pojmowania? Brak ten płynie z faktu, że w takiej sytuacji Kościół swego celu nie spełnia. Dlatego, że jeśli popatrzymy na to od strony statystyki, to widzimy, że chrześcijańską nie stała się nawet trzecia część ludzkości. Nawet sam Kościół jest w sobie podzielony. Na Kościół katolicki zaś przypada 800 mln ludzi, czyli trochę więcej niż połowa tych, którzy są chrześcijanami.

Jeżeli zaś popatrzymy na samych katolików, to zauważymy fakty, na myśl których w człowieku krew się burzy. Tych chodzących do kościoła w skali światowej jest 10%, a więc 70 mln. Gdy weźmiemy te 70 mln chodzących do kościoła i zaczniemy wśród nich szukać dojrzałych chrześcijan, którzy są konsekwentni, dla których Ewangelia jest wszystkim, którzy traktują swe chrześcijaństwo poważnie, to sytuacja okaże się jeszcze tragiczniejsza. Wtedy z tych 10% zostanie nam tylko 1%.

Moglibyśmy tutaj powiedzieć, że jest to dzieło Jezusa Chrystusa, że to On tego dokonał. Tyle zostało z tego, co On zrobił.

Rodzi się pytanie o sens Jego przyjścia, męki, zmartwychwstania. Tyle zostało z pracy Kościoła. Tylko tyle? Jeśli założy się, że celem Kościoła jest dążenie do tego, aby cała ludzkość, albo przynajmniej jej jak największa część była katolicka, to wtedy powiemy, że nie udało się Jezusowi Chrystusowi uczynić tego, co zamierzał. Jest zatem największym bankrutem na świecie.

W to pojęcie Kościoła jako deski ratunku rzuconej na fale tonącego świata (kto się jej nie uchwyci, utonie) wniósł dużo Sobór Watykański II. Nawiązał on do dawnych myśli, które można by streścić w stwierdzeniu: „Kościół jest sakramentem i znakiem zbawienia”.

Co to stwierdzenie oznacza? Jak należy rozumieć wypowiedzi Soboru, które porównują Kościół do światła, soli? Albo też te wypowiedzi, które porównują Kościół do zaczynu włożonego w ciasto, czy też wypowiedzi soborowej Konstytucji *Lumen gentium*, która stwierdza, że Kościół to światło dla świata.

Zastanówmy się przez chwilę nad tymi porównaniami. Jeśli spróbujemy w ich świetle zrozumieć misję Kościoła, to sytuacja zmienia się trochę na lepsze. Wtedy Jezus Chrystus nie wychodzi na bankruta.

*Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu. Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwaliли Ojca waszego, który jest w niebie* (Mt 5, 14-16). W tych stwierdzeniach świat jest przedstawiony jako tonący w mrokach. W tych ciemnościach Bóg zapalił orientacyjne światło, którym jest Kościół. Kościół jest dla świata tym, czym jest latarnia morska dla podróżujących morzem. Według tej koncepcji zawsze będzie część, która jest ciemnością i część, która jest powołana, aby być światłością.

Być światłem dla dobra innych ludzi, dla ich zbawienia, to trochę modyfikuje zdanie: *Idźcie na cały świat...* (Mk 16, 15). Nie znaczy to, że wszyscy ludzie mają wejść do Kościoła. Ale wszystkie narody mają zobaczyć światło. Zatem Kościół ma wobec świata funkcję służebną. Ma pokazywać mu drogę i dawać nadzieję.

Cytowany powyżej urywek *Ewangelii* nawiązuje do proroctwa Izajasza: *Powstań i świeć...* (Iz 60, 1-6). Jest w nim pokazana misja Izraela i Kościoła wobec świata.

Kościół jest też solą. Stwierdzenie to suponuje znowu, że istnieją wielkie połacie świata, które potrzebują soli. Ale jest też na świecie ktoś, kto otrzymał od Boga misję, aby posolić te części świata, aby przez to świat był smaczniejszą strawą, aby odzyskał swój smak, tożsamość, bo bez soli świat się rozkłada i psuje. Tak samo jest z zaczynem. Jest wielkie ciasto zrobione z mąki, w które kładzie się małą szczyptę drożdży i przez to całe się przemienia.

Jeśli taka jest misja Kościoła, to jego sytuacja nie jest tak tragiczna i dramatyczna. To nic, że jest niewielka liczba chrześcijan praktykujących. Problem jest w tym, żeby to małe światło było mocnym światłem. Żeby ci, których Bóg powołuje do Kościoła, byli mocnym światłem, by nie kopcili. Jeżeli sól jest prawdziwą solą, to wystarczy jej w garnku tylko szczypta.

Wtedy Kościół naprawdę spełnia swoją misję, gdy jego członkowie są wielkiej wiary i autentycznego świadectwa. O takiej misji mówi św. Paweł w *Liście do Filipian*. Napomina chrześcijan, aby byli tym, czym być powinni, tzn. solą, która nie zwietrzała, i światłem, które nie kopci.

Co zatem zrobić z adagium: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”? Czy z tego, co zostało powiedziane nie wynika, że część ludzi może pozostawać pogańska, że może pozostać w swych religiach, że też się zbawi? To nie prowadzi do relatywizmu, dlatego że Bóg dla całej ludzkości jedyną drogę przewidział w Jezusie Chrystusie.

Kościół jest Ciałem Chrystusa i jako Ciało Chrystusa jest konieczny dla całej ludzkości, dla jej zbawienia. Nie ma zbawienia bez Jezusa Chrystusa pojętego całościowo, ze swoją Głową i swym Ciałem, ale nie w tym sensie, że wszyscy muszą jurydycznie wejść do Kościoła. To nie leży w Bożych planach. Na to wskazują nam fakty, które są, jakie są.

Jeżeli ktoś wierzy, że Bóg kieruje historią, wtedy widzi, że wszystko jest takie, jakie Bóg zamierzył. Fakt, że Bóg jest absolutnym Panem historii, jest dla nas trochę gorszący, ale nie dla *Pisma Świętego*. Ono pokazuje, że wszystko, co się dzieje w historii, dobro i zło, jest wkalkulowane w Boży plan zbawienia. Bóg o wszystkim wie.

Myśmy później zrobili rozróżnienie - i słusznie - że pewne wydarzenia Bóg chce, a inne dopuszcza. Uczyniliśmy to po to, aby nie przypisywać Bogu zła. Rozróżnienie to jest dobre i konieczne. A zatem można powiedzieć, że II wojna światowa też była dopuszczona przez Boga. Bóg jednak nie jest zegarmistrzem, który skonstruował mechanizm świata, a ten mechanizm ciągle mu się psuje i dlatego musi go na nowo reperować. Co naprawi, to znowu mu się popsuje. Fakty są nam dane i musimy pamiętać, że nic się nie dzieje bez Jego woli i wiedzy.

To wszystko jest na pierwszy rzut oka szokujące, ale później staje się uspokajające - nie bój się niczego, włos ci z głowy nie spadnie, Bóg wie o wszystkim, cokolwiek się dzieje; nic istotnego się dla ciebie nie zmieni. Wszystko zaczyna się relatywizować i przestaje być skałą, o którą się człowiek rozbija.

Zatem w roku 2000 Bóg uczynił taką a nie inną sytuację, że nie cały świat jest w Kościele. Trzeba więc pojąć soborowe określenie Kościoła jako sakramentu zbawienia, jako latarni, która ma świecić ludzkości, ma być punktem orientacyjnym, drogowskazem, miejscem, z którego wychodzi nadzieja dla świata.

Jak to się ma do adagium: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”? Otóż wyobraźmy sobie stół obsypany opiłkami żelaza - jest to ludzkość rozbita przez grzech, cierpiąca w grzechu. Bóg na tę bezwładną masę opiłków położył magnes, którym jest Jezus Chrystus z tworzącym z Nim jedność ontologiczną Kościołem. Łaska Boża wśród ludzi zawsze działa w kierunku tego centrum. Kościół został dany, aby wszystkie opiłki zjednoczyły się wokół centrum. Nikt nie może powiedzieć, że wolą Bożą jest, aby on wystąpił z Kościoła.

Jawi się tu problem. Opiłki poruszane Bożą łaską kierują się ku centrum. Niektóre czynią tylko jeden krok, a inne więcej. W tych ludziach coś się zaczęło, coś dostrzegli, zauważyli jakieś światło. Kościół w stosunku do tych ludzi spełnił już swoją misję. To jest to, o czym mówi rozszerzone adagium: że także ci, co są poza Kościołem, należą do niego *ex voto*, którzy do tego centrum nie dojdą - oni też są zbawieni dzięki Kościołowi.

Ci jednak, którzy dojdą do tego centrum, mają tu swą misję, aby być światłem dla innych. Po to należą do Kościoła, a nie tylko dla zbawienia swej duszy.

Ludzie często rozumieją Kościół jako fabryczkę dla zbawienia duszyczek. Nie o to tu chodzi. Człowiek się zbawi, jeśli spełni misję, jaką mu Bóg powierzył. Oczywiście, że Kościół jest dla zbawienia i ma z nim związek. Jeśli jednak człowiek otrzymał od Boga łaskę chrześcijaństwa, to nie może być chrześcijaninem tylko dla siebie. Jest nim po to, aby spełnić wobec świata misję bycia światłem i solą dla jego uratowania.

Następny problem. Dzięki czemu Kościół staje się światłem czy solą dla świata? Zagadnienie to łączy się z tym, o czym była mowa poprzednio.

Otóż Kościół staje się dla innych światłem, gdy zaczyna świecić tym samym blaskiem, jakim świecił Jezus Chrystus, gdy zaczyna objawiać światu miłość Boga. Zatem Kościół jest sobą, gdy staje się znakiem jedności i miłości, która pochodzi od Boga i złączyła ludzi w doskonałą jedność. Czyli Kościół musi mieć wewnątrz siebie substancję chrześcijańską, tzn. musi ją mieć w sercach swych członków, możliwie wszystkich.

Zbawieniem każdego człowieka jest sam Bóg. Człowiek znajdzie swe szczęście tylko wtedy, gdy odnajdzie Boga, gdy w Nim osadzi swe życie. Ale przecież Bóg jest niewidzialny. Ludzkość szuka Go po omacku i z trudem znajduje. Dlatego Bóg wyszedł naprzeciw człowiekowi i objawił się, uczynił się widzialnym w Jezusie Chrystusie. Jezus przyszedł nam pokazać prawdziwą twarz Ojca, Jego naturę, którą jest miłość do grzesznika, do wroga. Nie jest to byle jaka miłość, ale miłość prawdziwa, która się dała rozpiąć na krzyżu i na krzyżu zajaśniała swym blaskiem.

Jezus jednak odszedł. Jak zatem dzisiejszy człowiek ma zobaczyć twarz Boga? W jaki sposób ma dojść do całej ludzkości objawienie się miłości Boga? Teraz można zobaczyć sens Kościoła. To właśnie on ma być dla całego świata sakramentem, znakiem, miejscem Bożej obecności. W świecie miłość istnieje szczątkowo, w małych porcjach - w Kościele jest jakby skondensowana. Kościół ma być przyczółkiem Boga na ziemi, miejscem, w którym widać, że Bóg istnieje, działa, że zbawia życie ludzkie, że czyni je szczęśliwym.

To jest cel Kościoła, przez to jest on światłem i solą dla świata. Ale dzieci czy młodzież, które nas słuchają, w życiu codziennym są katechizowane przez rodziców za pomocą różnych faktów, które nie zgadzają się z tym, o czym dowiedziały się od nas. Od rana do nocy widzą bowiem np. że dla rodziców najważniejszą sprawą jest pieniądz, a przecież myśmy mówili im coś innego. Widzą, że rodzice nie chodzą do kościoła, a myśmy im mówili, że należy chodzić. My mówimy, że należy kochać innych, a oni widzą, że rodzice nikomu nie darują.

Te wszystkie fakty zadają kłam temu, co mówi im ksiądz na katechezie. To są pewne formy katechizowania faktami świata. Ludzie idą do biura i widzą, że życie jest zupełnie inne, niż mówi się o tym w kościele. Każdy myśli o sobie, człowiek człowiekowi staje się wilkiem. Ta katecheza mówi ludziom, że nie ma prawdziwej miłości, a ludzkość to piekło.



Kościół znajduje się w straszliwej sytuacji, jeśli na tę katechezę świata, katechezę faktów, odpowie tylko katechezą słów. Jest przez to z góry skazany na niepowodzenie. Kościół musi więc pokazać inne fakty, które zadadzą kłam poprzednim. Katecheza ta musi ludziom mówić, że prawdziwa miłość istnieje, że Bóg ma moc coś zmienić w życiu człowieka, wyrwać go z egoizmu, a scalić ludzi rozbitych.

Dzięki tym faktom-substancji, dzięki obecności zbawczych wydarzeń w ludzkim życiu, Kościół staje się zbawczym światłem dla świata. Problem jest w tym, żeby to światło - choćby małe - było naprawdę światłem, a nie błędnym ognikiem, który zaraz zniknie. Chodzi o to, aby sól była solą, a nie tylko solą zwietrzałą.

Na tym tle „substancji chrześcijańskiej” w naszym życiu chciałbym ukazać zdarzenie, które będzie punktem wyjścia do mówienia o tym, że misją Kościoła jest ewangelizacja. Otóż św. Piotr mówi w swym liście, aby być najpierw chrześcijaninem, a potem, gdy nas zapytają o rację nadziei, powiedzieć im o mocy Jezusa Chrystusa zmartwychwstałego (zob. 1 P 3, 15).

Często się słyszy, że podstawową misją Kościoła jest przepowiadanie Ewangelii. I to jest prawda. Św. Paweł mówi: „Biada mi, jeśli nie będę głosił Ewangelii”. To samo powinien powiedzieć o sobie Kościół. Dlaczego biada? Dlatego, że taki jest Boży plan zbawienia. „Ludzkość leży w mocy złego” (zob. 1 J 5, 19) i cierpi. Bóg nie patrzy obojętnie na to cierpienie, ale zsyła swego Syna. To On umiera, zmartwychwstaje, zsyła Ducha Świętego, który daje nowe życie Kościołowi. Kościół tego doświadcza.

Pierwsza wspólnota jerozolimska, która powstała w dzień Zielonych Świąt, jest jakby pokazowym dowodem ze strony Boga, że Duch Święty zmienia życie człowieka. Bóg rzeczywiście ratuje życie ludzkie z tragicznych sytuacji i wprowadza nowy wymiar istnienia, gdzie panuje pokój wewnętrzny, pogoda ducha, szczęście, gdzie człowiek zyskuje poczucie pełni i przekonuje się, że jego życie ma sens. Z woli Bożej ma to dojść do całej ludzkości, a jedyną drogą jest ewangelizacja.

Innymi słowy, całe dzieło zbawcze Jezusa Chrystusa ma być przyjęte przez innych ludzi dzięki przepowiadaniu Ewangelii, głoszeniu kerygmatu. Przeglądając pod tym kątem *Pismo Święte* widzimy, że ewangelizacja to nie dawanie konferencji, podawanie czegoś do wiadomości. Jest to - co prawda - po części jakieś „podawanie wiadomości”, ale bardzo skuteczne, bo w głoszonym słowie jest obecny Jezus Chrystus. On powiedział, że jest z nami aż do skończenia świata. Jest On także obecny z uczniami głoszącymi Ewangelię. Jakby chciał przez to powiedzieć, że jest obecny w tym słowie i przez to ma ono moc zbawczą. Cała ludzkość i wszelkie stworzenie ma się dowiedzieć o szansie, jaką Bóg ofiarowuje.

Grzech wtrącił nas w sytuację bez nadziei, rozkładu wewnętrznego, a na końcu tej wędrówki czeka jeszcze wieczne potępienie. Bóg jednak przychodzi i mówi, że jest z tej sytuacji wyjście - wyjście w Jego Synu, w Jezusie Chrystusie. Jest ono darmowe, jest wielkim darem.

Chrześcijaństwo jest Dobrą Nowiną dla różnych rozbitków życiowych, dla ludzi pogrążonych w swych namiętnościach. Chrześcijaństwo jest dla nich wszystkich Dobrą Nowiną, bo niczego w zamian nie żąda.

„Głoście to wszelkiemu stworzeniu” - mówi *Ewangelia* Marka - „kto w to słowo wierzy, ten będzie zbawiony, kto nie uwierzy, będzie potępiony” (por. Mk 16, 15-16).

Abstrahujemy na razie od faktu, czy będzie potępienie wieczne, czy nie. Pierwsze znaczenie tego tekstu jest następujące: jeżeli nasze życie wskutek grzechu jest tragiczne, jeżeli cierpimy, to sobie często nie zdajemy sprawy, że to jest nasz grzech. Kto cierpi, ten gdy uwierzy, wyjdzie z tego cierpienia; z przedsionka piekła, jakim uczynił swoje życie. Kto nie uwierzy, zostanie w swoim świątku, zostanie w tej sytuacji, w jakiej jest.

Kościół ma misję ewangelizacji i teraz te dwa punkty się schodzą. Nie tylko dlatego, że taki jest nakaz Jezusa Chrystusa, ale również dlatego, że Kościół zawiera w sobie „substancję chrześcijańską”, jest światłem.

Człowiek - doświadczony na sobie, że to słowo jest skuteczne, że teraz żyje w innym świecie, kosztując ma ziemi początku raju - nauczył się czytać swoją historię w świetle Bożym i widzieć Boga w każdym wydarzeniu. Nie boi się już złych wiadomości, potrafi kochać w wymiarze krzyża i to stwarza wokół niego jakiś nowy ferment.

Kto tego wszystkiego doświadczył, czuje w sobie to, o czym pisał św. Paweł, i wtedy biada mu, jeśli zachowa dla siebie to wszystko, co otrzymał. O tym, że Chrystus wyciągnął go z błota, że jednak jest jakieś wyjście, powie nie tylko najbliższym: synowej, szwagrowi, ale także i tym dalszym, przygodnie spotkanym. To właśnie jest ewangelizacja.

W Kościele pierwotnym też nie było zorganizowanej akcji misyjnej. Każdy czuł się misjonarzem. Istniała instytucja misjonarzy tzw. wędrownych, którzy wychodzili ze swego Kościoła i zakładali nowe Kościoły, przepowiadając Ewangelię w środowisku pogańskim. Tam Matka Kościół posyłała swych prezbiterów, by byli stałym punktem odniesienia. W zasadzie misjonarzem był każdy wierny i chrześcijaństwo przenosiło się na zasadzie szeptanej propagandy.

Jeśli tak się sprawy przedstawiają, to punkt ciężkości zawsze idzie w tym kierunku, żeby Kościół rzeczywiście był światłem i solą. Stanowi to również problem naszego Kościoła dzisiaj. Ów cel wyznacza zadanie, jakie mamy do spełnienia, a mianowicie ewangelizować sam Kościół, co ma prowadzić do nawrócenia i odnowy.

Jedynym sposobem nawrócenia się, wejścia w plan Boży, doświadczenia na sobie jego skutków jest skonfrontowanie ludzi ze słowem Ewangelii. Tylko wobec tego słowa może się dokonać decyzja człowieka - uwierzy w nie, czy nie uwierzy. Jeżeli uwierzy, rozpocznie drogę nawrócenia. Jeżeli nie uwierzy, pozostaje w swoim świątku. Ewangelizacja jest punktem wyjścia - nie tylko po to, by sam Kościół się nawrócił.

Spójrzmy na to zadanie jeszcze od innej, bardziej praktycznej strony. Przeprowadźmy refleksję nad tym, co robimy w Kościele i co powinno się w nim robić.

Otóż mamy dzisiaj w Kościele bardzo rozbudowane i często dobrze prowadzone duszpasterstwo sakramentów św. Polega ono na tym, że wychodząc z założenia, iż

zbawienie jest jedynie w Kościele Chrystusowym, pytamy się, gdzie jest Chrystus obecny. Znajdujemy łatwo odpowiedź, której dostarcza nam teologia dogmatyczna, że Chrystus jest obecny w znakach sakramentalnych. Dlatego też nasze wysiłki idą w tym kierunku, żeby ludzi przyprowadzić do tych miejsc, gdzie Jezus jest obecny - do sakramentów św.

To duszpasterstwo musi być, ale jest ono dla tych, którzy są w środku Kościoła. Tragizm polega na tym, że Kościół ogranicza się do tego duszpasterstwa i w ten sposób sprzeniewierza się swojej misji bycia światłem, solą.

Dlaczego to duszpasterstwo sakramentalne jest niewystarczające? Dlaczego nie dociera ono do ludzi będących poza Kościołem? Ponieważ suponuje jako warunek wstępny minimum wiary. Muszę wierzyć, że w tabernakulum jest Chrystus, abym przyszedł i tam się modlił. Podobnie muszę wierzyć, że On jest obecny we mszy św., w spowiedzi *etc.*

To wszystko wymaga wiary, tymczasem ludzie, którzy do kościoła nie chodzą, bardzo często to minimum wiary utracili i teraz pytanie: Czy jest dla nich jakiś pomost? Znaki sakramentalne suponujące wiarę nie są skuteczne wobec tych ludzi, dlatego nie mogą być punktem wyjścia duszpasterstwa misyjnego.

Powstaje więc nowy problem, czy istnieją znaki, które by nie zakładały wiary, lecz mogłyby ją wzbudzić. Odpowiadamy na to tak: Istnieją! Jednym z nich jest znak opisany w *Ewangelii św. Jana: Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie* (J 13, 34-35).

Supozycją tego zdania jest to, że jest świat, który nie jest chrześcijański. To jest cała ludzkość, która ma poznać po waszej miłości, że jesteście moimi uczniami. Jest jeszcze drugi znak, uzupełniający pierwszy. Jezus mówi: *Nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie; aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczy, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał* (J 17, 20-21).

Świat ma uwierzyć orientując się po znaku miłości, jedności. Mamy tutaj miłość i jedność. O jaką miłość chodzi? Jezus mówi o miłości: *Jak Ja was umiłowałem - a Jezus umiłował nas, jak stwierdza św. Paweł, gdyśmy jeszcze byli wrogami i nienawróconymi.*

Miłość do nieprzyjaciół to miłość rozpięta na krzyżu, której emblematem jest Cierpiący Sługa Jahwe. Dlaczego taka miłość? Czyż nie ma w świecie innych, piękniejszych miłości, np. miłość dwojga narzeczonych, dwóch przyjaciół, męża i żony? Dlaczego o tych ostatnich nie można powiedzieć, że są znakiem Jezusa? Dlatego, że ta miłość jest osiągalna również ludzkimi siłami. Dlatego, że ta miłość ma swój graniczny punkt, za który człowiek już przejść nie potrafi. Jak długo odpowiadasz moim gustom, jak długo mnie nie niszczysz, jak długo robisz to, co ci każę, wszystko jest w porządku. To jest właśnie bariera miłości czysto doczesnej.

Miłość w wymiarze krzyża jest miłością, która tę barierę przekracza. Taka miłość jest wchodzeniem w śmierć, jest przekreśleniem samego siebie, swoich gustów,

ideałów. Jest zaakceptowaniem bliźniego za to, kim jest, a nie za to, co daje, w czym jest wydajny, w czym mi przynosi korzyść.

By taka miłość mogła w człowieku zaistnieć, musi on pokonać w sobie lęk przed śmiercią. Tego może dokonać w nim tylko Jezus Chrystus zmartwychwstały.

Podobnie ma się rzecz z jednością, która jest konsekwencją miłości w wymiarze krzyża. Ludzie widzą jedność, ale również do pewnych granic. Są one wyznaczone różnymi barierami, np. wieku, pieniądza, wiedzy. Ludzie wiedzą o nich i uważają, że jest to normalne, że inaczej być nie może. Kościół ma być miejscem, gdzie owe bariery nie istnieją. Gdzie nie istnieją bariery wieku, wykształcenia, majątku, gdzie nie istnieją żadne formy dyskryminacji.

Gdy w środowisku, gdzie bariery są czymś normalnym, pojawi się wspólnota, w której nie ma żadnych granic, w której ludzie sobie wzajemnie pomagają, staje się ona znakiem dla obserwujących ją z zewnątrz. Parafia winna być tym przekrojem, tym cudem moralnym, który pokazuje, że Jezus jest, że działa. I teraz, gdy cię o to zapytają, zdaj sprawę ze swojej nadziei. Powiedz, że otrzymałeś to od Chrystusa w darze, że to jest ta miłość, którą w naszych sercach rozlewa Duch Święty.

To są warunki, żeby duszpasterstwo stało się duszpasterstwem ewangelizacji. Kościół może wtedy skutecznie przepowiadać Dobrą Nowinę, gdy w danej parafii istnieją te zjawiska: miłość w wymiarze krzyża i doskonała jedność. Wówczas staje się ona wspólnotą misyjną. Ludzie niewierzący, obserwując to zjawisko, są katechizowani faktami.

Misja Kościoła jest też taka, jaka była ostatecznie misja Jezusa Chrystusa - umrzeć za świat. To jest misja Cierpiącego Sługi. Może ją Kościół podjąć dzięki temu, że ma swoich Judaszów, swoich prześladowców. I to również trzeba ludziom mówić. Jest to, jak mówi św. Paweł, dopełnienie tego, czego nie dostaje cierpieniem Jezusa. Nie znaczy to, że cierpienia Jezusa były jeszcze niewystarczające, że muszą dojść jeszcze nasze cierpienia. Tylko że Jezus Chrystus pragnie umierać za ludzkość w każdym pokoleniu, a czyni to przez swój Kościół.

Czytając pisma, które powstały w czasie, gdy Kościół był prześladowany, można dostrzec, że duchowość męczeństwa była normalną cechą duchowości chrześcijańskiej. Każdy przyjmujący chrzest liczył się z faktem, że może krwawo skończyć życie.

Stwierdziłem to już wiele razy, że jak długo ktoś jest letnim chrześcijaninem, to nikt na niego nie zwróci uwagi, bo to nie jest groźne. Ale jak zaczyna dojrzywać do prawdziwego chrześcijaństwa, zaczyna myśleć inaczej niż inni, niż cały świat, od razu ma pełno wrogów.

Tu pojawia się drastyczne pytanie: Jaka jest misja Kościoła, gdy chrześcijanin staje wobec prześladowcy, który chce mu - w takiej czy innej formie - odebrać życie? I odpowiedź: Masz dać się zabić, tak jak uczynił to Jezus Chrystus. Jest to najszczytniejsza misja, dzięki której spełnisz swój ostateczny cel.